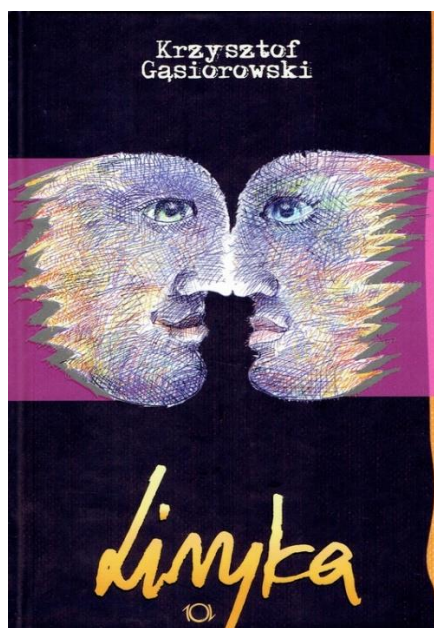


Giganci odchodzą albo listopad i literatura

(Dokończenie ze strony 19)

tarła do mnie (to wszystko znajdziecie w notkach właśnie wierszy wybranych Gąsiorowskiego „Liryka”), a ponieważ znaleźliśmy się i wcześniej, dogadaliśmy się na przełomie listopada i grudnia 2017 roku i zabrałem się do pracy. Pamiętam jeszcze, że Małgosia zaprosiła mnie na spotkanie w drugi dzień Świąt, ale ponieważ Święta tradycyjnie spędzam z rodziną, grzecznie odmówiłem. A po dwóch dniach zadzwonił wydawca. Lech Robakiewicz ze smutną informacją, że Małgosia zmarła i z pytaniem, czy w takim razie ciągniemy sprawę dalej, bo oczywiście pojawiły się kwestie finansowania. Udało się. „Liryka” ukazała się wiosną 2018 roku (spłata zobowiązań finansowych, które z tej okazji podjąłem zajęły mi następne kilka lat, ale nie żałuję tego wysiłku).



Kolejnym Gigantem, któremu towarzyszyłem w wydaniu też niestety pośmiertnym wyboru wierszy jest **Zbyszek Jerzyna**. Zbyszek zmarł w listopadzie 2010 roku, dwa lata przed Krzysztofem. Jeszcze jesienią tegoż feralnego 2010 zbieraliśmy się do świętowania najświętszego wtedy tomiku Zbyszka „Sanecki”. Premierę promocyjną przesunęło niedomagające już bardzo zdrowie autora na tyle skuteczne, że tej premiery w ogóle nie było. Kiedy ukazał się zbiór „Liryka” Gąsiorowskiego, druga żona Zbyszka, Marta zaczęła rozmowy ze mną, aby – na wzór „Liryki” – wydać wiersze zebrane Jerzyny. Zapalał starczyło jej na trzy nasze spotkania, a potem okazało się, że pełnymi prawami do wierszy ojca dysponuje syn, Marcin Jerzyna. Marcin mógł

skutecznie zająć się spuścizną swego taty kilka lat później, ale jego starania zwińczył sukces wydawniczy, bo w roku 2022 ukazały się „Wiersze” Zbigniewa Jerzyny, najobszerniejszy ich wybór, zawierający unikatowe, bo wcześniej nikomu nie znane utwory, które poeta pisał w ostatnich miesiącach, tygodniach i dniach swego życia. Sekundowałem Marciniowi i cieszę się ze swego udziału w tej publikacji. Natomiast martwiło mnie po tych dwóch przygodach wydawniczych, że w obu wypadkach były to wydania pośmiertne. Autorzy wyboru nie mieli już okazji sami ich zobaczyć ani brać udział w wyborze.

Postanowiłem w wypadku kolejnego Giganta, którym tu się zajmuję, **Marka Wawrzekiewicza**, doprowadzić do sytuacji odwrotnej, aby wybór wierszy był wyborem, który będzie mógł cieszyć także ich autora. Wyszędłem z inicjatywą pracy nad takim wyborem chyba ze dwa lata temu, sprzedałem pomysł na posiedzeniu Komisji Kwalifikacyjnej ZLP, pomysł spotkał się z aprobatą, a autor, z którym też się swoim pomysłem podzieliłem, jak to Marek, życzliwie przytaknął, nie wpadł w „cielęcy” zachwyt, pewnie wiedziony doświadczeniem, że od pomysłu do realizacji droga wyboista. I miał rację, bo z pomysłem zostałem sam. Że zajmują mnie też inne – zawodowe, związane z filozofią – obowiązki niż pasja do literatury, to znowu utknałem na czas jakiś. Ale udało mi się nie dalej jak w czerwcu tego roku „ruszyć z posad bryłę świata”. A to dzięki temu, że Marek ponagłany abyśmy do tegoż wyboru przystąpili oznajmił kategorycznie, że wybór jak najbardziej, ale bez jego udziału, że on wybierać nie będzie. Nie miałem – nomen omen – wyboru. Teraz jesteśmy na etapie finalizacji wydania „Wierszy wybranych” Marka Wawrzekiewicza (w Wydawnictwie Adama Marszałka, przyjaciela poezji i poetów albo poetów i poezji – Adamie sam ustal pasując Ci kolejność). Mam nadzieję, taką umowę zawarłem z Wawrzekiewiczem, że będzie on pierwszym z czwórki Gigantów, który zobaczy własny wybór wierszy. Po prostu zabroniłem mu umierać.

Marek Wawrzekiewicz więc tym smutnym wspominkom Gigantów, którzy kochali Literaturę z wzajemnością – choć ich prywatne oczekiwania i osobistą ocenę społecznego uznania, środowiskowego uznania nie mnie oceniać – nadaje jednak radosny wymiar, bo jest z nami, żyje. Ten radosny wymiar chciałbym pokazać na jednym, jedynym wątku Markowej poezji – na przykładzie miłości, skoro o niej mowa. Wiersze Wawrzekiewicza o miłości są jakoś powtarzalne: wszystkie „takie same”, a każdy inny! Nie wiem, jak poeta to robi, próbuję się w tym tylko trochę połapać ponieważ są mi bliskie i dalekie jednocześnie. Bliskie, bo prawdziwe, dalekie, bo nie moje, bo nie rozpoznaję w nich swoich miłości – jedynie miłość w ogóle, miłość *jako taką* (powiedziałyby przemądrzały filozof). Marka wiersze o miłości dzieją się (najczęściej) nad ranem, u schyłku nocy, bardziej *po* niż w *trakcie*. Są cholernie powtarzalne, gdy się je spotyka, a właśnie tego doświadczyłem, siedząc „nad całym” Wawrzekiewiczem jego niemal siedemdziesięcioletnim już poetyckim urobkiem.

„Powtarzalność” jego wierszy jest zindywidualizowana (jakkolwiek nie logicznie to brzmi), wiodą nas od kobiet do kobiet, od nastrojów do zwątpień, od zachwytów po starczą rezygnację. Będziecie mogli już mam nadzieję – tej jesieni – ocenić to sami sięgając po „Wiersze wybrane” Wawrzekiewicza.

A jeśli już o miłości mowa, to jest jeszcze ta nadrzędna (chyba), bo nieustająca przez całe życie i nieustająco piękna, jakby nienasycona mimo upływu czasu, miłość do matki. Kończę więc ten tekst o odchodzących Gigantach wierszem ostatniego z nich, który jeszcze nas raduje swoją obecnością, jego pięknym wierszem, a jakże, o matce:

Matka

Niebo, w którym 12 grudnia zamieszkała
moja matka,
Nie jest przesadnie dostojne. Starawa
wersalka
Z wytartych chmur, w kącie błękitnej kuchni
Miniaturowa śnieżycą, w której chłodzi się
ambrozja
Przypominająca smakiem mleko lub herbatę.
Kilka ulotnych sprzętów
Nieziemskie hologramy rodzinnych zdjęć,
Telewizor z białym ekranem i radio
Nadające dobre, spokojne wiadomości.
Stół pływa na ciepłym strumieniu.
Matka unosi się nad nim. Nakrywa go
Kwitnącym lnem, rozstawia przejrzyste
talerze.
Musi być gotowa. Pewnie przyjadą synowie,
Może wpadnie Ojciec Pio. Po kolacji
Zagrają w remiką.
Jest mniej zgarbiona. Nareszcie
Odrośli jej włosy. Są jeszcze siwe,
Ale już powoli czernieją. Twarz gładka.
Tylko ręce nie chcą się odmłodzić.
Nie można z nich wygnać zmęczenia.
Ale ogólnie jest nieźle. Przegląda się
w kryształ gwiazdy:
Ładnie jej w tym popielatym sweterku od
Teresy.

Patrzy na telefon.
Ma – nie wiadomo czemu – kształt serca.
A kiedy dzwoni świetlistą nocą
Zapala się w nim coś w rodzaju
Różowego płomyka.

Jeszcze trzeba odgrzać parówki cielęce,
Pokroić chleb niebieski tym co zwykle
promieniem,
Powiesić ręczniki z obłoków
Na wierzbie nad stawem.

Dobrze, że pogoda się wypogodziła.
Łagodne słońce świeci z wszystkich stron.
Zdążą, zdążą przed złotawym zmrokiem.

Już jedziemy, Mamusiu.

Marzec 2003

Do puenty tego wiersza dodam tylko:
jeszcze nie Marku, jeszcze nie...

Andrzej Wołosewicz